

# Wstęp. Palimpsest rodzinny

---

ale dopiero teraz  
umiałabym ci pomóc  
Wędrowalibyśmy skrajem, środkiem  
i poboczem  
twoich nieczytelnych rękopisów

Bogusława Latawiec,  
*Do ojca z 2008 roku*

Mój ojciec, dr Czesław Latawiec, był historykiem literatury polskiej i filozofii. Przed wojną i po wojnie ogłaszał drukiem rozprawy interpretacyjne, recenzje, prace naukowe poświęcone romantyzmowi, Młodej Polsce, dwudziestoleciu międzywojennemu, między innymi: Adamowi Mickiewiczowi, Cyprianowi Norwidowi, Janowi Kasprówiczowi, Tadeuszowi Micińskiemu, Bolesławowi Prusowi, Stefanowi Żeromskiemu, Władysławowi Reymontowi. Ale jego ostatnia ogłoszona za życia pozycja nie była kolejną pracą naukową, tylko autobiografią wspomnieniową pt. *Sandomierz – moja młodość*. Ukazała się drukiem w roku 1976 w wydawnictwie LSW. Byłam bliskim obserwatorem jej genezy i świadkiem mozolnego zbierania do niej materiałów. Oto jak się zawiązał i jak przebiegał przez kilka lat ten powolny proces pisarski.

Po kupnie w roku 1972 naszego pierwszego – mojego i męża – auta, syreny, wiedząc, jak emocjonalnie związany jest ojciec ze swoją ziemią sandomierską i jej ludźmi, zaproponowałam rodzicom wspólną wyprawę naszej nauczycielskiej, polonistycznej czwórki do Sandomierza. Oni pociągiem, my autem (razem z psem, pekińczykiem – Jungiem). To była dla nas pierwsza daleka wyprawa samochodowa; pociąg zapewniał rodzicom większy komfort, no i bezpieczeństwo, niż prowadzona przez początkujących kierowców syrenka. Krewni sandomierscy wynajęli nam dwa pokoje w willi na dawnej Krakówce, blisko dawnej ojcowizny Latawców.

Ojciec, jak się okazało, dramatycznie przeżywał zmiany w pejzażach sandomierskich, zabudowie, stanie architektonicznym wielu nieodnawianych przez lata obiektów, a zwłaszcza zupełną niwelację sprzedanej przez jego brata Rudolfa – ojcowizny, która nie była już, jak dawniej, widoczna z kopca Salve Regina, miejsca kultu religijnego sandomierzan. Zniknął wielki sad owocowy, starannie założo-

ny przez mojego dziadka, Władysława Latawca, ze sprowadzanych z zagranicy drzewek, rozpadł się fachowo skonstruowany system melioracyjny wokół domu, chroniący przed wiosennym zalewaniem gospodarstwa. Mojego ojca mocno zabolął także stan Wisły i jej wałów chroniących przed powodzią. Władysław został jednym z trzech nadzorców technicznych, zajmujących się biegiem rzeki od Sandomierza aż do Warszawy. Zajmował się regulacją Wisły, stanem wałów ochronnych przed i po powodziach. Był rzadkim gościem w domu. Gospodarstwem zarządzała matka przy pomocy wieloletniej pomocnicy domowej i całej grupy pracowników najmowanych do robót rolniczych. Ziemi i dzieci (jedenaścioro) mieli Latawcowie dużo.

Czesław Latawiec w swojej autobiografii gorzko napisze:

Przykra jest dla mnie świadomość, że wszystko, co mój ojciec zbudował, uległo zagładzie. Zniszczone zostało również i to, co mój ojciec zbudował dla dobra swej rodziny [...]. Wniwecz poszedł wysiłek ojca i tak jak na cmentarzu świętopawelskim nie ma śladu po jego grobie, tak i na ziemi po jego pracy. Zburzona także została chata i budynki gospodarcze przez niego zaplanowane i zbudowane<sup>1</sup>.

Ważnym miejscem, jak nam wyznał, dla przyszłego wolnomyśliciela, stała się w jego dzieciństwie katedra sandomierska, do której zaprowadził nas od razu pierwszego dnia po przyjeździe – pełna budzących grozę obrazów i fresków z sądu ostatecznego dla innowierców. W jego wspomnieniach czytamy, że katedra wyzwała w nim silne przeżycia mistyczne (*notabene* podobnie jak u małego Juliana Przybosia, rówieśnika mojego ojca, pochodzącego z nieodległej od Sandomierza Gwoźnicy). Czesław Latawiec pisze:

Jako podskrobek lubiłem wkradać się do prezbiterium. [...] wsłuchiwałem się w grę organów i śpiewane przez duchowieństwo chorały, upajałem się oparami kadzidła [...] nie ulega wątpliwości, że doznawałem wtedy wielkich wzruszeń religijnych<sup>2</sup>.

Również będąc uczniem, często wysiadywał na katedralnym, kamiennym murze, gapiąc się na piękny widok dalekiej Wisły, lub tłumaczył łacińskie teksty, zadane na dzień następny – czekając po lekcjach na wieczorny czas, w którym udzielał płatnych korepetycji z literatury polskiej i języka łacińskiego dla uczniów z niższych klas.

Razem z ojcem całymi dniami wędrowaliśmy po śródmieściu sandomierskim, oglądaliśmy ratusz, rynek, Bramę Opatowską, którą wyjeżdżało się i wjeżdżało do miasta, Ucho Igielne, ulicę Królów, Drogę Salveregińską, prowadzącą

---

<sup>1</sup> Czesław Latawiec, *Sandomierz – moja młodość*. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1976, s. 32–33.

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 119.



Władysław Latawiec, ojciec autora – czwarty od lewej



Rodzina Latawców, lata sześćdziesiąte. W pierwszym rzędzie od lewej: Rudolf, Bolesław z żoną Marią, Czesław, Mieczysław. W drugim rzędzie – ich dzieci

do Krakówki, i zabytkowe kościoły, po których nas oprowadzał jak zawodowy przewodnik. Chodziliśmy też do kolejnych, rudych wąwozów, do Piszczeli, Gór Pieprzowych wzdłuż brzegów Wisły, wspinaliśmy się posłusznie po wzgórzach rozpiętych nad Sandomierzem jak nad Rzymem. Oglądaliśmy szkołę maryjną, do której uczęszczał nasz oprowadzacz, legendarne Collegium Gostomianum, jeździliśmy autem po okolicach.

Po latach we wprowadzeniu do książki *Sandomierz – moja młodość* jej autor ujawnił genezę swoich memuarów:

Uświadomiłem sobie nagle jasno, że świat tamtych czasów istnieje już tylko w pamięci ludzkiej i że trzeba go ocalić od zapomnienia. W drodze powrotnej spotkałem w pociągu

mojego byłego ucznia, Jerzego Klingera, kiedyś młodego poetę, dziś znanego historyka doktryn prawosławnych, i choć od wielu lat nie byłem skłonny do spowiedzi, to właśnie jemu pierwszemu zwierzyłem się z zamiaru napisania swoich sandomierskich wspomnień<sup>3</sup>.

Nie pamiętam jednak, kiedy dokładnie podjął decyzję poszerzenia swoich wspomnień o tom następnym, opisujący jego studia na poznańskiej polonistyce (1923–1928), wieloletnią pracę nauczycielską do wybuchu wojny, a potem, w jej trakcie, morderczy trud robotnika ziemnego, wreszcie wysiłki i nadzieje organizatora w roku 1945 nowego szkolnictwa w Poznaniu i Wielkopolsce. Czy pomyślał o kontynuacji wspomnień dopiero po wydaniu drukiem *Sandomierza – mojej młodości*? Niewątpliwie życzliwe przy-



<sup>3</sup> Ibidem, s. 28.

jęcie tej wysokonakładowej książki, liczne reakcje jej czytelników, listy do autora nie tylko od rdzennych sandomierzan, ale i od ich dzieci czy wnuków, także z innych regionów Polski, mogły tę próbę ogarnięcia całej swojej biografii wywołać, ale mógł ten zamysł równie dobrze pojawić się dużo wcześniej, już w trakcie pisania wspomnień sandomierskich.

Świadczy o tym bezpośrednio, mocno przez autora podkreślona, tożsamość czasu, który zamyka tom pierwszy i rozpoczyna tom drugi. *Sandomierz – moja młodość* kończy się wyjazdem autora-bohatera z Sandomierza na studia do Poznania, a tom drugi, który dopiero teraz pojawia się w druku, otwiera opis przyjazdu młodego sandomierzanina na studia do stolicy Wielkopolski. Czytam to jako wyraźną sugestię autorską, dotyczącą zaplanowanej ciągłości czasowej obu prac, na której mu wyraźnie zależało.

\*

Pamiętam, że w zamyśle autora część druga wspomnień miała nosić tytuł *Poznań – ja zawsze przeciw*. Teraz, gdy po latach sięgnęłam ponownie do rękopisu ojca, uświadomiłam sobie, że taki tytuł buńczuczny byłby jednak nietrafny, źle zrośnięty z materią jego życia. Bohater tych memuarów nie był w życiu osobistym i społecznym aż tak wojowniczy, arbitralny i osamotniony. Przede wszystkim zaś jego żywiołem nie była destrukcja, lecz – budowa. Miał w Poznaniu długie okresy bardzo czynnego, ekspansywnego współdziałania ze swoimi wielkopolskimi rówieśnikami, ściśle ukierunkowanego ideowo, naukowo i artystycznie. Zdarzały mu się ambicje wodzowskie, które często w całości realizował w gronie swoich przyjaciół, artystów, naukowców i działaczy społecznych.

Jednocześnie do końca życia pozostał mocno związany ze swą sandomierską ojczyzną. Nie mam wątpliwości, że to ona go ukształtowała: jako pedagoga, społecznika i naukowca. W *Sandomierzu – mojej młodości* czytamy:

Brałem udział w charakterze oczywiście gapia w różnych burzliwych wiecach endeckich, socjalistycznych i ludowych. Kroczyłem pod sztandarem czerwonym w pochodzie PPS-Lewicy demonstrujących chłopów, fernali, przysłuchiwałem się szkalowaniu rządów Daszyńskiego i Moraczewskiego przez endecję, brałem lekcje demagogii i pryncypializmu politycznego od tego typu mówców wiecowych co Smoła, wybitny działacz ludowy, i ks. Okoń. Pamiętam starcie tych dwóch działaczy ludowych na zwykłej furmance chłopskiej. [...] Smoła ze swoimi słuchaczami podbiegł do wozu ks. Okonia, wtarabanił się nań i obrzucił go różnymi zarzutami, na to Okoń spokojnie powiedział: „Obywatele, która krowa ryczy, mało mleka daje”, a Smoła: „Obywatele, w Piśmie Świętym jest mowa, że przed końcem świata Antychryst będzie jeździł po świecie w księżowskiej sutannie” i zepchnął księdza z wozu, Okoń poleciał na dół w objęcia pokładającej się ze śmiechu gawiedzi. [...] W tych komicznych i dramatycznych pyskówkach uczyłem się sztuki argumentowania, zapoznawałem się z węzłowymi zagadnieniami życia ówczesnej Polski – ugruntowałem

swój daleko idący radykalizm społeczny i polityczny. Wśród uczestników wieców kręciła się zresztą cała młodzież szkolna...<sup>4</sup>

Zmieniłam tytuł drugiej części wspomnień ojca na *Sandomierzanina w Poznaniu*, który, jak sądzę, wiąże ze sobą te dwa odmienne – ale przecież nie wrogie sobie – światy i jest zgodny z biegiem biografii autora.

Niewątpliwie Sandomierz miał decydujący wpływ na poglądy polityczne autora, jego decyzje zawodowe, a nawet na tryb szkolnego nauczania. Ojciec mój w pełni korzystał w swojej pracy wychowawczej z pomysłów dydaktycznych sandomierskiej kadry pedagogicznej, zwłaszcza w późniejszym okresie, gdy miał już mniejszą liczbę godzin lekcyjnych. Prowadził wtedy z młodzieżą wiele zajęć dodatkowych: akademie, koncerty, spektakle teatralne, konkursy poetyckie, szkolne pismo literackie... Ważny dla niego był ruch samorządowy w klasach, poczucie kolektywizmu i, tak istotne później w życiu dorosłym, realizowanie własnych pomysłów przez młodzież, umożliwiające jej świadomy udział w życiu kraju.

\*

Wiele jest cech wspólnych między *Sandomierzem – moją młodością* a *Sandomierzaninem w Poznaniu*, wiążących materię Latawcowych wspomnień. Różni je jednak, co ma zapewne znaczenie przy odbiorze czytelniczym, odmienny proces pracy autora nad tymi tekstami. *Sandomierz – moja młodość* był pisany, by tak rzec, własnoręcznie. Pamiętam, ojciec pracował nad rękopisem codziennie, jak miał we zwyczaju, od samego świtu, co niewątpliwie przejął z rytmu życia na wsi, którego nigdy nie zmienił. Nie zasiadał przy biurku, niebezpiecznie zawalonym książkami, zeszytami uczniowskimi, notatkami, tylko w swoim głębokim fotelu, zakładając nogę na nogę, pisał w dużym notesie o twardej oprawie, pod wielką paprocią, którą dostał przed laty od swoich maturzystek (kochając go, umarła, gdy on umarł). Koło godziny ósmej rano przerywał pracę i schodził do sklepiku po mleko i bułki na śniadanie, które mamie i mnie cichutko przygotowywał w kuchni, by nas za wcześnie nie obudzić.

Pismo miał drobne, nieregularne, a kolejne poprawki, całe ich warstwy wpiśwane między zdania, często kolorowymi ołówkami, udaremniały próbę ich odczytania. Dlatego też sukcesywnie, po ukończeniu jakiegoś zamkniętego fragmentu z *Sandomierza – mojej młodości*, godzinami dyktował swój tekst na drugim końcu Poznania Halinie z Horężiaków Boładziowej, krewnej mojej mamy, biegłej maszynistce.

---

<sup>4</sup> Ibidem, s. 206.

Praca nad drugim tomem, czyli nad *Sandomierzaninem w Poznaniu*, miała zupełnie inny rytm. Ojciec kolejne partie tekstu dyktował swojej żonie, młodszej od niego o osiem lat, swej byłej uczennicy z seminarium nauczycielskiego – Janinie, która przed wojną pracowała w klasach początkowych, więc miała pismo kaligraficzne. Pamiętam, że to trwało całymi miesiącami. Efekt – dyktowana część wspomnień nie ma autografu! Nie wiedziałam, czy ojciec uważa tę nową rzecz za ukończoną, gotową do druku. W naszym domu w wielkiej szufladzie szafy bibliotecznej przechowywaliśmy po śmierci rodziców chronologicznie ułożone teczki rękopisów maminych – z opisami epizodów z życia ojca, a potem także z życia mojej matki. Tylko raz sięgnęłam do fragmentu tych materiałów, aby wydobyć z nich informacje dotyczące dziejów mojej matki i jej rodziny, potrzebne mi do pracy nad rodową powieścią *Kochana Maryniuchna*.

Nie wiem, czy ojciec, pracując nad wspomnieniami poznańskimi, układał sobie z dnia na dzień kolejne epizody do opowiedzenia (do końca miał świetną pamięć), czy spontanicznie dyktował po prostu to, co mu się – mieszcząc w konkretnej fali czasowej – akurat przypomniało, czy miał wizję kolejnych fragmentów, może nawet całej książki? Czy improwizował? Być może bieg akcji go porywał do łączenia zaskakujących czytelnika faktów wcześniejszych lub dużo późniejszych. Trudno dociec. Był człowiekiem zdyscyplinowanym, ale miewał rozmaite przyszłościowe fantazje, szaleńcze pomysły i radości, których nigdy nie zrealizował, a mógł je przecież bezkarnie wrzucić w taką wielowątkową, psychologicznie możliwą wieloopowieść, obejmującą różne światy myślowe, czasy, wiary i zdarzenia. Ileż on mógł nazmyślać! Bałam się tego, znając go. Pamiętam, że gdy się zagalopowywał w trakcie opowieści osobistych, poznawałam po wyrazie jego twarzy, kiedy trzyma się faktów, a kiedy fantazjuje. Ze skrucą przyznawał się, że uległ marzeniu lub potrzebie retorycznego efektu... Mógł także niespodziewanie połączyć ze sobą konkluzje naukowe ze strukturami emocjonalnymi lub snuć wykład chłodno przemyślany, aż do ostatniego zdania. Wszystkiego się mogłam spodziewać. Na przykład dowcipu nagle wplecionego w poważny dyskurs, gry kontrastowych epizodów lub przeciwnie – pozornie niemożliwego, sprawnie wplecionego w możliwe.

Na szczęście jednak i wbrew moim lękom struktura całości okazała się konsekwentnie wierna nie wyobraźni autora, lecz pamięci o faktach. Jest w jej materii tłum postaci faktycznych, zaskakujących – acz prawdziwych, zdarzeń, humoru, w sumie dzięki temu całość jest bogatsza, bardziej panoramiczna niż *Sandomierz – moja młodość*, tok narracji urozmaicony przez następstwa epizodów dramatycznych, przygodowych, erotycznych, humorystycznych, nawet sensacyjnych i detektywistycznych...

Niewątpliwie ten proces twórczy, który autor uruchomił w drugim tomie wspomnień, jest dla odbiorcy bardziej atrakcyjny, nawet nowatorski. Choć naj-

prawdopodobniej zrodził się nie z chęci epatowania czytelnika nowymi rozwiązaniami stylistycznymi czy kompozycyjnymi, ale z prozaicznej przyczyny życiowej. Wspomnienia dyktowane żonie nie wymagały codziennych wyjazdów na koniec miasta i wielogodzinnej pracy z maszynistką. A przecież nie ominęły autora, mimo ciągłej energii twórczej, kłopoty zdrowotne, bóle kości, stany zapalne, które zresztą nauczył się od młodości lekceważyć i sprytnie ukrywać przed lekarzami i rodziną.

Jest w *Sandomierzaninie w Poznaniu* jeszcze jeden, o wiele bardziej czytelniczo intrygujący i zaskakujący pomysł, dotyczący struktury całości, ewidentnie ożywiający tok wspomnień. Ojciec – autor – dyktował swojej żonie nie tylko wspomnienia własne, ale i, ubarwiając je swoimi komentarzami, jej opowieści o sobie, wcześniej mu opowiedziane zdarzenia z jej biografii.

Pracując nad *Sandomierzaninem w Poznaniu*, przypominałam sobie strzęp rozmowy z moją mamą sprzed dziesięcioleci. Powiedziała mi, śmiejąc się, szczęśliwa, że ojciec wreszcie zakończył dyktowanie jej własnych wakacyjnych wspomnień. Nie spytałam, po co to robił i co z tego miałyby wyniknąć. Po prostu bezrefleksyjnie przyjąłam ten dziwny fakt do wiadomości i całkowicie o nim na całe lata – zapomniałam.

Dopiero teraz, przy ostatniej lekturze rękopisu maminego, nagle to pozornie tak nieważne zdanie wyłoniło się z mojej pamięci. Przyjęłam je z należnym mu wzruszeniem.

\*

Mimo odmiennego technicznie procesu pisarskiego i wielu nowych kompozycyjnych ujęć, obydwa tomy wspomnień Czesława Latawca mają, jeśli rzecz całą ująć metaforycznie, wspólny kościec myślowy, wynikający z historycznoliterackich doświadczeń badawczych ich autora-opisywacza, a także z jego pisarskich doświadczeń.

Jak przystało na historyka literatury, traktowanej w ścisłym związku z dziejami filozofii, aktem pierwszym wobec pomysłu napisania dwóch kolejnych części swojej autobiografii było przede wszystkim zgromadzenie materiału naukowego do nich, aby nie ograniczać się jedynie do własnej pamięci, wyobraźni i przeżyć osobistych. Tym bardziej że te dwa światy Czesława Latawca – jego dzieciństwa szkolnego i młodzieńczego w Sandomierzu, a potem studenckiego, uniwersyteckiego, dorosłego życia – w Poznaniu, to były dwie jakże różne przestrzenie. Sandomierszczyzna – spod zaboru rosyjskiego, Wielkopolska – spod niemieckiego. Sandomierz zakotwiczony w rzeczywistości chłopskiej, Poznań – mieszczańsko-burżuazyjny o polsko-niemieckiej społeczności. Każdy świat zanurzony w innej kulturze, folklorze, mentalności i poziomie cywilizacyjnym.

Konieczne więc były wędrówki po bibliotekach, muzeach, zabytkach kultury z obu regionów: kościoły, klasztory, zakony, gmachy szkolne, zamki, ratusze, muzea,



galerie malarskie, plany urbanistyczne, place, pałace, zamki, podziemia, cmentarze, dzielnice, ulice, parki... Także wnikliwe lektury wspomnień innych autorów. Opracowania dotyczące konkretnych dzieł sztuki z obu zaborów, znajomość czasopism literackich z tamtego czasu, dzienników regionalnych, studiów folklorystycznych dotyczących gwar, obyczajów, zwyczajów religijnych, uroczystości itd. Na pewno nie chodziło mojemu ojcu tylko o to, by z tego wszystkiego korzystać, ale znając go, wiedziałam, że pisząc, musiał to sobie skrupulatnie zgromadzić – by wiedzieć!

Przypuszczam także, że w trakcie pracy często ogarniał go niepokój, że drogi do odkrycia prawdy o sobie samym z tamtego okresu mogą go prowadzić po dziesięcioleciach – tropem fałszywym, wyidealizowanym przez czas, niezgodnym z rzeczywistością jego życia. Stąd zapewne brały się okresy zaniechań, spowolnienia w pracy, a także i lęk, iż opisuje siebie takim, jakim chciał być w przeszłości, a nie tym, kim był wtedy naprawdę.

To tajemnicze, intymne rozważania.

\*

W humanistyce od zawsze istnieje napięcie między abstrakcją, ideą ogólną a konkretem, faktem, zdarzeniem jednostkowym. Czesław Łatawiec jako historyk literatury to, co ogólne, żyjące w świadomości społecznej, politycznej, religijnej, metafizycznej, estetycznej, w twórczości artystycznej, pokazywał w swoich pracach poprzez losy jednostki, biografie osobiste twórców, myślicieli, przywódców politycznych, ich indywidualne wybory życiowe, często dramatyczne, intymne. Intrygowały go ich światy codzienne.

Przygotowując się do pracy wspomnieniowej, zaczął w podobny sposób rekonstruować swoje własne życie rodzinne. Rzetelnie gromadził relacje biograficzne swoich braci, kolegów, nauczycieli z dzieciństwa, przyjaciół ze studiów, później już własnych uczniów, ich rodziców – swoich wyznawców i wrogów. Pisał listy, zarzucał sieci między sobą a ludźmi obcymi, którzy mogli mu służyć różnymi dodatkowymi informacjami. Jednym słowem, rekonstruował ze strzępów życia – życie domyślne, a przecież prawdziwe. Lubił, żeby okazywało się piękne, wzniosłe i heroiczne. Dumny był, gdy udało mu się wybranego przez siebie bohatera przeprowadzić przez całe jego dorastanie, rodzinę, szkoły, studia – aż do życia dorosłego. Uwznioślić, gdy był heroiczny, i zaatakować, jeśli jego wybory życiowe uznał za szkodliwe, zrodzone z drobnego przypadku, z chwilowej emocji. Zawsze starał się ocenić całość osobowości swoich bohaterów, sprawiedliwie podsumować ich upadki i zwycięstwa.

Wierzył bowiem, że przeszłość, teraźniejszość i przyszłość świata są formowane przede wszystkim przez takie właśnie z pozoru drobne ludzkie decyzje, czyny – te przemyślane i te równie często zrodzone z emocji, przypadków, pomyłek życiowych.

W sumie to one właśnie, jak twierdził, często stają się spoiwem społecznym, z którego mogą się zrodzić w przyszłości idee ważne, czyny zbiorowe, nawet narodowe.

\*

Tę dwufazową całość wspomnieniową Czesława Latawca można także czytać jak powieść rozwojową, w której całe życie bohatera jest pokazane jako zbiór kolejnych bodźców, doświadczeń i wyborów, formujących jego osobowość.

Z kolei struktura myślowa, rytm fabularny, tematyka pedagogiczna, szkolna, naukowa może niespodziewanie zbliżać *Sandomierzanina w Poznaniu* do modnego obecnie modelu powieści uniwersyteckiej.

\*

*Palimpsest rodzinny*, tytuł mojego wstępu do *Sandomierzanina w Poznaniu*, wymaga kilku słów komentarza. Ma on co prawda charakter metafory, ale nieodległej od funkcjonujących dzisiaj znaczeń tego wieloznacznego pojęcia. Chodzi o tekst, którego autorstwo nie jest w stu procentach jednoosobowe, gdyż „przezierają” przez niego inne charaktery pisma, innych, ukrytych lub jawnych współtwórców, ich wrażliwości, myśli, przeżycia...

Jak już wspomniałam, w powstawaniu *Sandomierzanina w Poznaniu* rolę współtwórczą, nader osobliwą, śmiem twierdzić, że wyjątkową, odegrała moja mama. We wspomnienia ojca wplotły się mamine opowieści z jej dzieciństwa, z jej przyjaźni młodzieńczych, harcerskich fascynacji życiem obozowym, z niebezpiecznych przygód wakacyjnych, wypraw taternicznych na Zawrat, Giewont, zdobycia (bez zapasów jedzenia) Babiej Góry, jazdy na gapę bez biletów i bez pieniędzy z jednej części kraju do drugiej... Wszystko to rozszerzyło zakres tematyczny książki o codzienność, obyczajowość tamtych czasów, życiowe strategie, rozrywki, kulinarne przyzwyczajenia, stosunki rodzinne, święta, wychowywanie dzieci, kościół, teatr, operę, film, życie kawiarniane, przyjęcia domowe, śluby, imieniny itd. A co z tego autor uznał za najciekawsze, zasługujące na utrwalenie, to swojej żonie – niejako na powrót – dyktował, a ona własne opowieści, powtórzone i przetworzone przez męża, zapisywała w zeszytach formatu a4 starannym, kaligraficznym pismem. Lecz jednocześnie, jak przypuszczam, sama w tym procesie utrwalania mówionego brała czynny udział, na oczekaniu korygując różne drobne, językowe, gramatyczne, stylistyczne niezgrabności żywej mowy. Była dobrze wykształconą polonistką i nauczycielką szkół średnich.

Ja zresztą również, opracowując redakcyjnie oba tomy wspomnień (pierwszy na życzenie wydawcy, redaktora naczelnego LSW, też sandomierzanina, Wincen-

tego Burka), choć bardzo starałam się ocalić i uszanować wszystkie osobliwości ojcowej polszczyzny, to jednak niektóre jego zwroty, określenia, rytmy zdaniowe – zmieniałam. Ojciec, zainteresowany – jak zwykle – raczej globalnymi sensami tekstu, mniej wrażliwy na drobiny stylu, akceptował moje redakcyjne ingerencje bez zastrzeżeń, co dało mi dziś moralne prawo do tego, żeby również część drugą jego memuarów poddać językowej obróbce (możliwie delikatnej i dyskretnej). Nadto jeszcze musiałam podjąć decyzje konstrukcyjne, odnoszące się do następstwa rozdziałów, zwłaszcza tych, które powstawały jako osobne artykuły – za życia autora publikowane w czasopiśmie. I wreszcie: z uwagi na bardzo wyraźne granice między kolejnymi fragmentami, odnoszącymi się do poruszanych przez ojca problemów, postanowiłam owe fragmenty oddzielać tytułami (poszukując inspiracji w ich leksyce, frazeologii lub tematyce).

A przecież nasz „palimpsest rodzinny” nie ogranicza się do wspomnieniowych ksiązek Czesława Latawca. Obejmuje także fragmenty mojej twórczości, zarówno prozy, jak i liryki. W licznych moich utworach – co uświadamiam sobie z całą mocą, pisząc ten oto wstęp do *Sandomierzanina w Poznaniu* – ojciec stawał się często prototypem bohatera, którego literacki wizerunek budowały jego wypowiedzi, soczystości językowe, dykcja stylistyczna, a także społeczne marzenia, poglądy polityczne, lęki dotyczące przyszłości Polski, edukacji, niepodległości... Po raz pierwszy pojawił się w mojej debiutanckiej powieści *Nie widziałam tak długiej chorągwi* jako jedna z postaci centralnych. Jest także w zbiorze opowiadań *Pusta szkoła*, wreszcie w *Ciemni* z całą swoją dynamiczną osobowością i trudnym dla niego samym charakterem.

A skoro mowa o języku czy idiolekcie rodzinnym, to na koniec muszę wspomnieć o moim cyklu „Odkrytki”, który składa się z wierszy – imitacji listów: ojca do matki i matki do ojca. Skomponowanie tego cyklu, stanowiącego próbę tak zwanej liryki roli, polegającej tu na naśladownictwie stylów korespondencyjnych moich rodziców, wymagało ode mnie znajomości ich myśli, poglądów, faktów z ich biografii, aby stały się dla czytelników wiarygodne. Jest to jeszcze jedna odmiana palimpsestu, który można nazwać palimpsestem pastiszowym.

\*

Mam nadzieję, że dzięki pracowitemu, krytycznemu opracowaniu tekstu *Sandomierzanina w Poznaniu* przez dr hab. Ewę Rajewską wspomnienia mojego ojca, uzupełnione o szereg faktów i komentarzy – na przykładzie biografii autora oraz wielu ocalonych od zapomnienia losów jednostkowych – zbliżą czytelników do oddalającej się od nas, a wciąż dla nas ważnej przeszłości, a zwłaszcza uniwersyteckiej i literackiej kultury Poznania w okresie międzywojennym.

Bogusława Latawiec